

Karsten Dusse

PONAD  
MILION  
SPRZEDANYCH  
EGZEMPLARZY!



Zabijaj  
uważnie



# 1. UWAŻNOŚĆ

„Kiedy stoisz pod drzwiami i czekasz,  
to stoisz pod drzwiami i czekasz.  
Kiedy kłócisz się z żoną, to kłócisz się z żoną.  
Na tym polega uważność.  
Jeśli natomiast czekając pod drzwiami,  
w myślach kontynuujesz kłótnię z żoną,  
to nie jest uważność.  
To czysta głupota”.

Joschka Breitner,  
*Zwolnij na pasie szybkiego ruchu.*  
*Uważność dla kadry kierowniczej*



Zacznijmy od tego, że nie jestem brutalny. Wręcz przeciwnie. Na przykład nigdy w życiu się nie biłem. Dopiero w wieku czterdziestu dwóch lat po raz pierwszy uśmierciłem człowieka. Uważam, że jak na przedstawiciela mojego fachu zacząłem dość późno. Inna sprawa, że w ciągu tygodnia miałem już na koncie pół tuzina ofiar.

Pewnie nie najlepiej to zabrzmiało. Jednak kierowały mną jak najlepsze intencje. Moje działania stanowiły logiczną konsekwencję wzmożonej uważności i dążenia do równowagi między życiem zawodowym i rodzinnym.

Po raz pierwszy zetknąłem się z uważnością w niezwykle stresujących okolicznościach. Moja żona Katharina domagała się, żebym wreszcie wrzucił na luz. Nabrał większej odporności na stres, zaczął zachowywać się odpowiedzialnie i wyprostował swój kręgosłup moralny. A wszystko po to, by dać naszemu małżeństwu jeszcze jedną szansę.

Chciała odzyskać zrównoważonego, ambitnego młodego idealistę, w którym zakochała się dziesięć lat wcześniej. Gdybym w tym momencie odparł, że chciałbym odzyskać

jej ciało, w którym zakochałem się dziesięć lat wcześniej, nastąpiłby gwałtowny koniec naszego małżeństwa. W pełni uzasadniony. Przecież czas ma prawo zostawić ślady na ciele kobiety, ale najwyraźniej nie na duszy mężczyzny. Dlatego to nie żona wybrała się do chirurga plastycznego, żeby podreperować urodę, tylko ja poszedłem na trening uważności, by uleczyć duszę.

Wtedy wydawało mi się, że uważność to kolejna dolewka tej samej ezoterycznej herbatki, którą odgrzewano co dekadę i sprzedawano ludziom pod co rusz inną nazwą. Uważność opisywano jako trening autogenny, który nie wymaga leżenia. Jako jogę bez karkołomnych asan. Jako medytację bez pozycji lotosu. W artykule opublikowanym w czasopiśmie „Manager”, które żona demonstracyjnie podsunęła mi kiedyś przy śniadaniu, napisano, że „uważność to wolna od ocen i życliwa obserwacja teraźniejszej chwili”. Definicja ta wydała mi się równie bezkształtna jak kamyki wygładzone przez wodę, z których ludzie otepiali od nadmiaru relaksu nie wiadomo po co układają wieżyczki na plaży.

Czy chciałoby mi się bawić w uważność, gdyby chodziło tylko o mnie i moją żonę? Nie wiem. Jednak dla naszej córeczki Emily przeszedłbym drogę z Sodomy do Gomory, gdyby tylko dzięki temu nasza rodzina dostała drugą szansę.

Dlatego w styczniu umówiłem się w pewien czwartkowy wieczór ze swoim nowym coachem uważności. Kiedy dzwoniłem do ciężkich drewnianych drzwi „gabinetu”, w którym za chwilę miałem rozmawiać między innymi o swojej chronicznej niepunktualności, byłem spóźniony dwadzieścia pięć minut.

Coach przyjmował klientów na parterze gustownie odnowionej zabytkowej kamienicy w eleganckiej dzielnicy naszego miasta. Na jego ulotkę natrafiłem w strefie wellness

pewnego pięciogwiazdkowego hotelu. Z cennikiem zapoznałem się w internecie. Specjalista od medytacji, za grube pieniądze uczący innych, jak nad sobą panować, powinien bez trudu przejść do porządku nad spóźnieniem, na którym zarobił trochę kasy. Tak mi się przynajmniej wydawało. Tymczasem kiedy zadzwoniłem, drzwi się nie otworzyły.

Gdy guru od relaksu zastanawiał się, czy łaskawie mnie wpuścić, zachowywałem całkowity spokój, mogłem bowiem usprawiedliwić swoje spóźnienie. Byłem adwokatem, specjalistą od prawa karnego, i późnym popołudniem wezwano mnie do sądu w sprawie tymczasowego aresztowania. Współpracownik mojego najważniejszego klienta Dragana Sergowicza został kilka godzin wcześniej zatrzymany w sklepie jubilerskim, gdzie szukał pierścionka zaręczynowego. Zamiast pieniędzy przyniósł naładowany pistolet. Zaprezentowany asortyment nie przypadł mu do gustu, dlatego delikwent trzonkiem pistoletu uderzył jubilera w skroń. Ten jednak zdążył wcześniej uruchomić cichy alarm, a policja, wkroczywszy do sklepu, zastała leżącego na podłodze właściciela i mężczyznę, który na widok dwóch wycelowanych w niego pistoletów maszynowych poddał się bez walki. Zabrano go na komendę, a o sprawie zawiadomiono mnie oraz sędziego.

Gdybym wciąż wyznawał ideały, w które wierzyłem jako student prawa, to uznałbym, że taką zakałą społeczeństwa należy do rozpoczęcia procesu trzymać w areszcie śledczym, a następnie zapuszkować na wiele lat.

Po latach pracy jako obrońca w sprawach karnych przeciwko wszelkim zakałom społeczeństwa w dwie godziny wyciągnąłem tego idiotę zza kratki.

Zatem nie spóźniłem się na sesję coachingu bez powodu. Spóźniłem się, bo o d n i o s ł e m s u k c e s. Chętnie

opowiedziałbym o szczegółach swojego triumfu temu terapeutcie od siedmiu boleści, gdyby tylko przestał z czystej przekory marnować resztę mojego czasu.

Młody człowiek, który wybrał się na zakupy z bronią w rękę, miał dwadzieścia pięć lat i wciąż mieszkał z rodzicami. Nigdy wcześniej nie aresztowano go za napaść, jedynie za przestępstwa narkotykowe. Nic nie wskazywało na to, by zamierzał uciec, dopuścić się mactw albo kolejnego przestępstwa. Poza tym jego wizyta w sklepie jubilerskim dowodziła, jak ogromne znaczenie mają dla niego wartości rodzinne. Przecież skradziony pierścionek miał być wyrazem gotowości do wstąpienia w związek małżeński.

Okej, leżącemu w szpitalu jubilerowi i policjantom z patrolu pewnie nie mieściło się w głowie, że jawny kryminalista jeszcze tego samego wieczoru mógł w gronie kumpli zgrywać twardziela i drwić z aparatu sprawiedliwości. W takich wypadkach nawet moja żona miewała zastrzeżenia do mojej pracy. Jednak nie do mnie należało tłumaczenie ludziom, jak funkcjonuje system prawny. Moja robota polegała na wykorzystywaniu go zgodnie z wszelkimi obowiązującymi regulacjami. Zarabiałem, działając dla dobra złych ludzi. Koniec kropka. Opanowałem tę sztukę do perfekcji. Byłem znakomitym adwokatem. Zatrudnionym w jednej z najbardziej renomowanych kancelarii prawa gospodarczego w mieście. Gotowym do działania przez okrągłą dobę.

Chyba oczywiste, że żyłem w ciągłym stresie. A to rzutowało na moje życie rodzinne. Dlatego teraz stanąłem przed drzwiami tego specja od uważności. A on nie chciał mnie wpuścić... Kark mi zeszytniał.

Za stres otrzymywałem sowitą rekompensatę: samochód służbowy, garnitury na miarę, drogie zegarki. Wcześniej nie dbałem o symbole statusu. Jednak od kiedy jako adwokat

wkroczyłem na teren przestępczości zorganizowanej, musiałem się o nie zatroszczyć. Choćby dlatego, że prawnik sam jest symbolem statusu dla swojego klienta.

Dostałem duży gabinet, designerskie biurko i pięciocyfrową pensję, z której utrzymywałem rodzinę, czyli żonę i cudowną córeczkę.

Niemalą, czterocyfrową sumę pochłaniała spłata kredytu na dom. Mieszkało w nim moje uroczе dziecko, którego nie widywałem z powodu nadmiaru pracy. Zajmowała się nim kochająca matka, z którą kłóciliśmy się przy każdej okazji. Praca wykańczała mnie nerwowo, ale nie mogłem pozwolić się żonie, bo ona jej nie szanowała. Sama była sfrustrowana, ponieważ całymi dniami musiała zajmować się dzieckiem, przez co zrezygnowała ze stanowiska kierowniczkі działu w firmie ubezpieczeniowej. Najwyraźniej za mało troszczyliśmy się o delikatny kwiat naszej miłości po przesadzeniu go do dużej rodzinnej doniczki. Mówiąc krótko, żyło nam się jak wielu innym odnoszącym sukcesy młodym małżeństwom, czyli beznadziejnie.

Z nas dwojga tylko ja prowadziłem zarówno życie zawodowe, jak i rodzinne, dlatego żona uznała, że to ja powinienem w końcu pogodzić jedno z drugim. Postanowiła wysłać mnie do coacha uważności. A ten się uparł i nie otwierał. Co za idiota. Mój kark napiął się już tak, że przy każdym ruchu głową rozlegało się ciche trzeszczenie.

Jeszcze raz zadzwoniłem do ciężkich drewnianych drzwi. Wyglądały na świeżo polakierowane. Świadczył o tym również ich zapach.

W końcu się otworzyły. Stojący w progu mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby od dłuższego czasu tkwił za drzwiami, czekając na drugi dzwonek. Był ode mnie trochę starszy. Wyglądał na pięćdziesiąt parę lat.



– Byliśmy umówieni o dwudziestą – oznajmił lakonicznie, odwrócił się i bez słowa ruszył przez pusty przedpokój.

Wszedłem za nim do skromnie urządzonego i słabo oświetlonego gabinetu.

Facet wyglądał jak asceta. Żyłaste ciało bez grama tłuszczu. Pewnie należał do tych szczęśliwców, którzy nie przytyją nawet pół kilo, choćby wstrzyknęli sobie pod skórę cały tort z bitą śmietaną. Prezentował się schludnie. Był ubrany w sprane dżinsy, białą bawełnianą koszulę pod zapinanym na guziki swetrem z grubej wełny i kapcie włożone na bose stopy. Nie nosił zegarka ani biżuterii.

Kontrast między nami był uderzający. Miałem na sobie uszyty na miarę granatowy garnitur, białą koszulę z mankietami na spinki, srebrzystobłękitny krawat z klipsem wysadzonym brylantami, zegarek Breitling, obrączkę, czarne skarpetki i eleganckie półbuty. Poszczególnych elementów mojego stroju było więcej niż mebli w gabinecie tego koleśia. Znajdował się tam tylko stół i dwa krzesła, regał z książkami i stolik z napojami.

– Wiem, przepraszam. Korci.

Już to, że się nie przywitał, zniechęciło mnie do kontynuowania rozmowy. Od boczenia się na mnie za niepunktualność spowodowaną pracą miałem żonę, której przynajmniej nie musiałem za to płacić. Jednak by odreagować stres, na jaki naraziłaby mnie Katharina, gdyby się dowiedziała, że nie tylko spóźniłem się na kurs uważności, ale też obrażony z niego zrezygnowałem, potrzebowałbym pomocy dwóch kolejnych coachów od relaksu.

– Zostałem nagle wezwany, ponieważ aresztowano mojego klienta za napad z użyciem siły. Nie mogłem tak po prostu...

Po co się tak produkowałem? To on był gospodarzem. Chyba powinien mi zaproponować, żebym usiadł. A może coś powiedzieć? Tymczasem tylko się na mnie gapił. Mniej więcej tak jak moja córka na chrząszcza napotkanego w lesie. Owad

instynktownie zamiera, kiedy obserwuje go przedstawiciel innego gatunku, ja natomiast gadałem jak najęty.

– Możemy po prostu wcześniej skończyć... Zapłacę za pełną sesję – próbowałem zacząć rozmowę jeszcze raz po niefortunnym początku.

W odpowiedzi usłyszałem:

– Droga nie staje się krótsza, gdy przemierza się ją biegiem.

Mądrzejsze sentencje czytałem na kubkach swojej sekretarki. A ten koleś nawet nie rekompensował tej złotej myśli dobrą kawą. Kolejny niewypał.

– Proszę usiąść. Napije się pan herbaty?

Nareszcie. Usiadłem na krześle. Wyglądało jak model nagrodzony za dizajn w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Skonstruowane zostało z giętej chromowanej rurki, na której rozpięto siedzisko z grubego brązowego sztruksu. Okazało się wyjątkowo wygodne.

– Mógłbym dostać espresso?

– A może być zielona herbata?

Coach zignorował moją prośbę i napełnił filiżankę naparem ze szklanego czajniczka. Zmatowione ścianki świadczyły o tym, że naczynia używano codziennie od wielu lat.

– Proszę. Jest letnia.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, czy dobrze trafiłem... – zacząłem.

Ścisnąłem filiżankę w dłoniach. Miałem nadzieję, że coach mi przerwie. Nic z tego. Wyjąkane przeze mnie zdanie zawisło w próżni, gdzie spotkało je uważne spojrzenie mojego rozmówcy. Dopiero kiedy zrozumiał, że nie dokończę wypowiedzi, napił się herbaty i oświadczył:

– Znam pana od pół godziny i wydaje mi się, że może się pan ode mnie sporo nauczyć.

– Nie zna mnie pan od pół godziny. Wszedłem tu trzy minuty temu – zauważyłem przytomnie.

Coach odpowiedział z prowokującą łagodnością:

– Ale mógł pan się tu zjawić już przed trzydziestoma minutami. Pierwsze dwadzieścia pięć poświęcił pan na inne sprawy. Potem przez trzy minuty stał pan pod drzwiami i zastanawiał się, czy zadzwonić drugi raz. Prawda?

– Ach...

– Kiedy w końcu postanowił pan nacisnąć dzwonek, przez trzy minuty, które spędził pan w moim gabinecie, dowiedziałem się, że nie traktuje pan serio spotkań, które wyjątkowo dotyczą wyłącznie pana, że pozwala pan, by zewnętrzne okoliczności dyktowały, co ma pan robić, że czuje się pan w obowiązku składać wyjaśnienia komuś zupełnie nieznanemu, że nie znosi pan ciszy, że nie umie się pan intuicyjnie odnaleźć w niecodziennych sytuacjach i że jest pan całkowicie zniewolony przez swoje nawyki. Jak się pan czuje?

Bingo. Facet miał rację.

– Jeśli dokładnie z tych powodów nie zechce pan teraz uprawiać ze mną seksu, to poczuję się jak u siebie w domu! – wypaliłem.

Coach zakrztusił się zieloną herbatą, zakaszłał i jednocześnie serdecznie się roześmiał. Kiedy przestał chichotać, wyciągnął do mnie rękę.

– Joschka Breitner. Cieszę się, że pan przyszedł.

– Björn Diemel, miło mi.

Przełamaliśmy pierwsze lody.

– Co pana do mnie sprowadza? – zapytał Joschka Breitner.

Musiałem się nad tym zastanowić. Przyszło mi do głowy tysiąc powodów, ale żadnego nie uznałem za dość istotny. Pomyślałem, że z trenerem uważności najlepiej rozmawiać szczerze. Kiedy wybuchnął śmiechem, wydał mi się całkiem sympatyczny. Nie byłem jednak jeszcze gotowy, by prosto z mostu opowiedzieć w szczegółach o swoim życiu prywatnym. Pan Breitner zorientował się, że biję się z myślami.

– Proszę wymienić pięć powodów, które pana tu przywiodły.

Zaczerpnałem głęboko powietrza. Wyłożyłem kawę na ławę:

– Doba jest za krótka, nie potrafię się rozluźnić, mam za cienką skórę, jestem zestresowany, żona mnie irytuje, nie widuję córki i bardzo za nią tęsknię. A kiedy już znajdę dla niej czas, myślami jestem gdzie indziej. Żona nie docenia mojej pracy, a w pracy mnie nie doceniają...

– I nie umie pan liczyć.

– Słucham?

– Dziewięć z tych pięciu powodów to klasyczne symptomy przeciążenia. Może pan opisać sytuację, w których tak się pan czuje?

Nie musiałem zbytnio wyęźać pamięci, by przypomnieć sobie, kiedy ostatnio czułem się przeciążony. Opowiedziałem mu po prostu, ile stresu kosztowało mnie czekanie pod drzwiami jego gabinetu. Zrelacjonowałem też gonitwę swoich myśli.

Pokiwał głową.

– Jak już wspomniałem, moim zdaniem trening uważności może się panu przydać.

– Dobrze, w takim razie zaczynamy.

– Wie pan, czym jest uważność?

– Zakładam, że za odpowiednie pieniądze dowiem się tego podczas kilku kolejnych sesji.

– Dowiedział się pan tego za darmo, stojąc pod drzwiami – odparł łagodnie pan Breitner.

– Chyba mi to umknęło.

– I tu jest pies pogrzebany. Czekał pan przez trzy minuty pod drzwiami, zastanawiając się, czy zadzwonić po raz drugi. Przez ile z tych stu osiemdziesięciu sekund był pan myślami gdzie indziej?

– Prawdę powiedziawszy, chyba przez sto siedemdziesiąt sześć.

– A dokąd pan zawędrował?

– Do sklepu jubilerskiego, na komendę policji, do kancelarii, do klienta, do córki i do żony, z którą się pokłóciłem.

– Zatem w ciągu góra trzech minut przebywał pan myślami w sześciu różnych miejscach. Do tego odczuwał pan wywoływane przez te miejsca emocje. Dało to panu coś?

– Nie, ja...

– To po co pan to zrobił? – zapytał szczerze zaciekawiony pan Breitner.

– Tak wyszło.

Gdyby mój klient powiedział coś takiego przed sądem, zabroniłbym mu się odzywać.

– Dzięki uważności nie będzie się to panu przydarzać.

– Aha. Opowie mi pan o tym więcej?

– To proste. Jak stoi pan pod drzwiami, to stoi pan pod drzwiami. Jak kłóci się pan z żoną, to kłóci się pan z żoną. Ale jeśli czekając pod moimi drzwiami, w myślach kłóci się pan z żoną, to jest pan nieuważny.

– A jak należy uważnie stać pod drzwiami?

– Po prostu. Wystarczy nic nie robić przez trzy minuty. Tylko stać i uświadomić sobie, że świata nie ogarnie chaos, gdy pan sobie stoi. Wręcz przeciwnie. Jeśli powstrzyma się pan przed wszelkimi ocenami, nie doszuka się pan w tej chwili niczego negatywnego. Będzie pan tylko obserwował otoczenie. Zwróci pan uwagę na swój oddech. Poczuje pan zapach świeżo lakierowanych drzwi. Wiatr we włosach. Wsłucha się pan w siebie. Życzliwie obserwując siebie przez trzy minuty, całkowicie uwolni się pan od stresu.

– Nie musiałbym dzwonić po raz drugi?

– Nie musiałby pan dzwonić nawet po raz pierwszy. Wystarczyłoby przez chwilę postać bez celu pod drzwiami.

Coś mi mówiło, że zdołam wprowadzić w życie fundamentalne zasady uważności. W każdym razie nie czułem już napięcia w karku. Kilka minut później pan Breitner nauczył mnie mantry, która towarzyszyła mi podczas pierwszego morderstwa, z czego zdałem sobie sprawę jednak dopiero po kilku tygodniach.



## 2. WOLNOŚĆ

„Ten, kto robi wyłącznie to, na co ma ochotę, nie jest wolny.  
Zniewalające jest samo wyobrażenie, że postępuje  
się stale w jeden i ten sam sposób. Wolny jest tylko  
ktoś, kto choć raz postąpił wbrew sobie”.

Joschka Breitner,  
*Zwolnij na pasie szybkiego ruchu.*  
*Uważność dla kadry kierowniczej*





Joschka Breitner napełnił filiżanki.

– Zazwyczaj u źródeł stresu leży błędne wyobrażenie o wolności.

– Aha.

– Myli się ten, kto uważa, że wolność polega na robieniu, co mu się żywnie podoba.

– Niby czemu się myli?

– Bo zakłada, że należy stale coś robić. To główna przyczyna odczuwanego przez pana stresu. Stoi pan pod drzwiami i uważa za zupełnie normalne to, że pańskie myśli hasają w najlepsze. Przecież są wolne! Czy aby na pewno? I na tym polega problem: próbujemy pochwycić wolne myśli, kiedy się rozpierzchają. A przecież wcale nie musi pan myśleć. Wprost przeciwnie. Może pan nie myśleć, jeśli nie ma pan na to ochoty. Dopiero wtedy naprawdę uwolni pan swoje myśli.

– Nie ograniczam się wyłącznie do myślenia przez okrągłą dobę – zaprotestowałem nieśmiało. – Najczęściej dostaję po głowie za to, co zrobiłem.

– Na analogicznej zasadzie wolność zyska pan dopiero wtedy, gdy przyjmie pan do wiadomości, że nie trzeba robić niczego, na co nie ma się ochoty.

„Nie muszę robić niczego, na co nie mam ochoty. Jestem wolny”.

Niecałe cztery miesiące później zacząłem korzystać z tej wolności z żelazną konsekwencją. Pozwoliłem sobie na to, by nie robić niczego, na co nie miałem ochoty. Niestety oznaczało to, że musiałem ograniczyć wolność kogoś innego, odbierając mu życie. W końcu nie poszedłem na kurs uważności po to, by uratować świat, tylko siebie.

Główna zasada uważności nie brzmi: „Żyj i daj żyć innym”, tylko: „Żyj!”. Postępując zgodnie z tą maksymą, można wywrzeć wpływ na tych, którzy żyją nieuważnie.

Swoje pierwsze morderstwo do dzisiaj wspominam z radością, ponieważ popełniając je, cieszyłem się chwilą, byłem życzliwy i niczego nie oceniałem. Tym samym osiągnąłem cel, jaki postawił przede mną coach podczas pierwszej sesji. Ktoś stracił życie, bo zaspokoilem potrzebę, która nagle dała o sobie znać. Z tego punktu widzenia moje pierwsze morderstwo wypada uznać za poprawnie wykonane ćwiczenie uważności. Nie przyniosło nic dobrego drugiej osobie. Tylko mnie.

Jednak kiedy siedziałem na krześle przed panem Breitnerem i piłem drugą herbatę, nie miałem jeszcze na koncie żadnych ofiar. Przecież przyszedłem do niego po to, by lepiej radzić sobie ze stresem zawodowym.

– Proszę opowiedzieć, czym się pan zajmuje. Jest pan adwokatem? – zapytał pan Breitner.

– Tak. Od spraw karnych.

– A zatem troszczy się pan o to, by każdy obywatel naszego kraju mógł liczyć na sprawiedliwy proces, bez względu na zarzuty. To doprawdy godne pochwały.

– Faktycznie kiedyś mi na tym zależało. Jeszcze podczas studiów, aplikacji i na początku drogi zawodowej. Niestety codzienna rzeczywistość wziętego specjalisty od spraw karnych wygląda zupełnie inaczej.

– Jak zatem?

– Troszczę się o to, by żadnego dupka nie spotkały nieprzyjemności, o które sam się prosił. To zajęcie moralnie podejrzane, ale niezwykle lukratywne.

Opowiedziałem mu o tym, jak zaraz po egzaminie adwokackim zatrudniłem się u von Dresena, Erkela i Dannwitza. Prowadzili średniej wielkości kancelarię specjalizującą się w prawie gospodarczym, w tym również w sprawach karnych. Kierowali stadem napuszonych kolesi w krawatach, którzy przez cały dzień na zlecenie obrzydliwie bogatych klientów szukali luk w prawie podatkowym i opiekowali się tymi, którym wbrew wszelkim naszym staraniom groziło postępowanie karne w sprawie przestępstw podatkowych i gospodarczych, malwersacji albo oszustw na wielką skalę. Na grę w tej lidze pozwalano nowicjuszom pod warunkiem, że zdali koncertowo dwa egzaminy państwowe i odbyli mnóstwo nieodpłatnych praktyk. A spośród kandydatów spełniających te kryteria i tak wybierano tylko jednego na dziesięciu. Zdobyć tu pracy zaraz po studiach uważano za szóstkę w totolotku. Los się do mnie uśmiechnął. Tak mi się wtedy wydawało.

– Dziś pan już tak nie uważa? – zapytał Joschka Breitner.

– Cóż, moje życie zawodowe potoczyło się inaczej, niż sobie to wyobrażałem w momencie zatrudnienia.

– Tak bywa. Co się dokładnie stało?

Zrelacjonowałem mu pokrótce swoją karierę. Opowiedziałem o początkowo śmiesznie niskiej pensji i koszmarnych warunkach pracy. Sześć i pół dnia w tygodniu. Czternaście godzin dziennie. Każda minuta w otoczeniu przygłupich karierowiczów, którzy posłusznie gonili w codziennym kieracie,

licząc na to, że któregoś dnia staną się współnikami w kancelarii.

Wiem, o czym mówię. Byłem jednym z nich.

Moim pierwszym klientem był ktoś, kto nigdy wcześniej nie korzystał z usług kancelarii. Adwokata nowicjusza przydzielono klientowi nowicjuszowi. Jak już wspomniałem, facet nazywał się Dragan Sergowicz i prowadził „podejrzane” interesy. Określenie to miało się nijak do skali popełnianych przez niego przestępstw. Chcąc przedstawić to obrazowo, należałoby powiedzieć, że pędził sto trzydzieści na godzinę przy ograniczeniu prędkości do trzydziestu.

Dragan odnosił jednak spore sukcesy i niektórzy „poważni” klienci naszej kancelarii, w ramach rekompensaty za jakieś przysługi, polecili go moim szefom.

Podczas naszego pierwszego spotkania Dragan powiedział, że zależy mu na ulgach podatkowych. Nie do końca rozminął się z prawdą. Jednak prokuratura miała inne zdanie. Kiedy pracownik urzędu skarbowego zaczął zadawać niewygodne pytania, Dragan tak go pobił, że facet wylądował w szpitalu. Jak już doszedł do siebie, zaczął przyjmować stałe pokarmy i był w stanie złożyć zeznania, dziwnym trafem nie mógł sobie przypomnieć ani podejrzeń o oszustwa podatkowe, ani wizyty mojego klienta. Zeznał, że po prostu nieszczęśliwie się przewrócił.

Przez kolejne lata Dragan dzięki sile swoich pięści działał skuteczniej niż ja ze swoimi dwoma egzaminami państwowymi.

Był nie tylko brutalnym alfonsem, ale także bossem narkotykowym i handlarzem bronią. Kiedy go poznałem, nieporadnie maskował swoje brudne interesy, działając pod przykrywką kilku półlegalnych firm importowo-eksportowych. Mówiąc krótko, nawet jak na dość niskie standardy etyczne moich pracodawców Dragan należał do klientów

śmieciovych. Wprawdzie przynosił kancelarii duże dochody, lecz nie wypadało chwalić się nimi na zewnątrz.

Oczywiście nie powstrzymywało to szefów kancelarii przed wprowadzaniem mnie w tajniki manewrów podatkowych, by nasz klient mógł odpłatnie skorzystać z moich porad.

Dragan był moim pierwszym wyzwaniem zawodowym. Za punkt honoru postawiłem sobie modernizację jego portfela inwestycyjnego, by jego działalność przestała wzbudzać zainteresowanie prokuratury. Dochody nadal czerpał przede wszystkim ze stręczycielstwa, handlu narkotykami i bronią. Wpływy te zacząłem jednak przepuszczać przez niezliczone firmy spedycyjne, franczyzy i lokale gastronomiczne, w których nabyłem udziały w imieniu Dragana. Poza tym pokazałem mu, jak na drodze oszustwa subwencyjnego zgarniać dotacje z Unii Europejskiej na nieistniejącą plantację bakłażanów w Bułgarii oraz jak czerpać zyski z handlu pakietami uprawnień do emisji zanieczyszczeń, co było przestępstwem równie poważnym jak sprzedaż narkotyków, ale nie wymagało łamania nikomu kości. Tym samym prowadził działalność, którą wspierało państwo. Z moją pomocą w ciągu kilku lat Dragan w oczach opinii publicznej zmienił się z brutalnego dilerka i alfonsa w mniej lub bardziej szanowanego biznesmena.

Do perfekcji opanowałem umiejętności, których nie zdobywa się podczas studiów. Nauczyłem się, jak wpływać na świadków, urabiać prokuratorów i stawiać do pionu współpracowników. Krótko mówiąc, poznałem sztukę skutecznej perswazji.

– Wie pan dlaczego? – zapytałem pana Breitnera.

– Proszę mnie oświecić!

– Początkowo dlatego, że do tego zobowiązywała mnie umowa o pracę. Nie jestem złym człowiekiem. Naprawdę. Jestem wręcz bojaźliwy, nudny i bardzo obowiązkowy. Obowiązkowość to bodaj moja najgorsza cecha. Wiem doskonale, że

system, który współtworzę, nie jest dobry. Ani dla innych, ani dla mnie. Nie może być dobry, skoro nagradza przemoc, niesprawiedliwość i oszustwa, a deprecjonuje miłość, sprawiedliwość i prawdę. Uważałem jednak, że w obrębie tego systemu można postępować właściwie. Z poczucia obowiązku przez długie lata troszczyłem się o jego sprawne funkcjonowanie. Lecz nie zorientowałem się, że powoli z ambitnego prawnika z egzaminem państwowym przeobraziłem się w adwokata, który perfekcyjnie broni przestępczości zorganizowanej.

W pewnym momencie opanowywanie rzemiosła zaczęło sprawiać mi przyjemność. Ale perfekcjonizm to nie wszystko. Pierwszy lepszy adwokat potrafi uratować tyłek swojemu klientowi. To jednak nie zmienia sytuacji ani na jotę. Dragan nawet w najdroższym garniturze nie wyglądał jak poważny biznesmen. Wciąż był tylko brutalnym świrem.

Obowiązek zachowania tajemnicy adwokackiej sprawiał, że wysłuchałem więcej mrozących krew w żyłach opowieści niż spowiednik Charlesa Mansona. Jednocześnie wylewałem wiadrami gówno na konkurentów i świadków przestępstw, a potem dziwiłem się, że przesiąknęłam smrodem. To znaczy, sam nie zwróciłem na to uwagi, tylko powiedziała mi to żona, która ma bardzo czuły węch. W końcu oznajmiła, że nie mogę dalej żyć w ten sposób.